

Nie mija pięć minut od otwarcia TikToka na moim telefonie, do momentu kiedy widzę ten slogan. „Jestem magnesem na pieniądze” – oznajmia okraszony emotkami napis na ekranie. Wystarczy jedynie polubić wideo, by zmienić tę wizję w rzeczywistość – a przynajmniej tak twierdzi jego twórca.

Z pewnością słyszeliście o astrologii i tarocie. Stereotyp „zodiakary” – osoby noszącej biżuterię z różnorodnymi kryształami i głęboko świadomej swojej duchowości, zdążył już dobrze zadomowić się w społeczeństwie. Istnieje jednak siostrzane zjawisko, które jest w stanie obejść mury obronne nawet największych sceptyków spirytualnych praktyk. Może część z was uciekła się do niego podczas sesji egzaminacyjnej? Kto choć raz nie manifestował trójki z egzaminu, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Powracająca filozofia

Manifestacja jest pojęciem dość szerokim – tak właściwie może mieć odmienne znaczenie dla każdej osoby. Doktor Carla Marie Manly, amerykańska psycholożka, definiuje ją jako „akt lub proces podejmowania czegoś, na co się liczy i wprowadzania tego w życie”. Filozofia ta czerpie z ruchu Nowej Myśli, powstałej w USA w XIX wieku (który z kolei wywodzi się m.in. z nauk Platona). Wyznawcy tego ruchu zakładali, że znalezienie się w konkretnej sytuacji jest odpowiedzialnością wyłącznie danej jednostki i tylko ona może ją zmienić. Sposób? Poznawanie samego siebie, co owocuje odkryciem drzemających gdzieś głęboko nieskończonych możliwości.

Idea manifestacji powróciła w 2006 roku, gdy australijska producentka telewizyjna Rhonda Byrne wydała książkę „Sekret”. Głównym przesłaniem jej dzieła było założenie, że pozytywne myśli i wypowiedzanie ich w eter jest kluczem do spełnienia marzeń. Nazwano je „prawami przyciągania” (ang. „law of attraction”) – czyli jesteś tym, co myślisz, a raczej dostajesz to, o czym myślisz. Krytycy nie pozostawali pobłażliwi w ocenie książki, lecz znalazła ona podatny grunt gdzieś indziej, trafiając w ręce samej Oprah Winfrey. Prezenterka stała się główną adwokatką

Wszystko mi się udaje!



Wiele osób ucieka się do manifestacji, aby polepszyć swoje życie

nierozumianej filozofii, przekuwając ją w modny styl życia.

Zastrzyk motywacji czy ślepa uliczka?

Nie ma jednego przepisu na praktykowanie manifestacji. Znaków można doszukiwać się w anielskich liczbach, które napotkane przypadkowo (np. na tablicach rejestracyjnych) mają nosić w sobie informacje od aniołów. Inni wolą materializować swoje marzenia poprzez zachowywanie się tak, jakby takowe już się spełniły. Jeśli w głębi duszy pragniesz Mercedesa klasy G, prowadź się jak osoba, która takie auto posiada. Popularne jest także słuchanie dźwięków o określonej częstotliwości, mające na celu „podniesienie wibracji” (YouTube bardzo chętnie wam coś zaproponuje). Innymi słowy – im lepsze twoje samopoczucie, tym lepsze rzeczy pojawiają się w twoim życiu. Ważne jest jednak, żeby nie wyrzucać swoich pragnień w eter i beczynnienie oczekiwać ich spełnienia. Manifestujący zaznaczają, że oni również musieli włożyć wysiłek w osiągnięcie swoich celów, z nadzieją na to, że wszechświat spotka ich w połowie drogi.

Możliwe, że część z was nie czuje się przekonana do takiego podejścia.

Zresztą, nic w tym dziwnego. Brak jakichkolwiek dowodów naukowych na rzeczywiste działanie tego typu praktyk jest tutaj tylko jednym z wielu problemów. Jak podaje „Vox”, badacze z Uniwersytetu Stanowego Ohio dowiedli, że ci, którzy kierują się w swoim życiu głównie intuicją, są w stanie częściej uwierzyć w fake newsy czy teorie spiskowe. Z kolei neurobiolog kognitywny Rhiannon Jones w rozmowie z „Vice” alarmował, że „przecenianie siły swoich własnych myśli może być niebezpieczne dla osób z zaburzeniami lękowymi, a nawet wywołać takie symptomy u osób zdrowych”.

Czy zatem manifestacja to szybka droga do wywołania u siebie zaburzeń poznawczych? Nie do końca. Według profesor psychologii z New York University, Gabriele Oettingen, rozwiązanie tkwi nie tylko w skupianiu się na marzeniach, ale też na potencjalnych przeszkodach. W wypowiedzi dla „Vox” zaznacza, że zidentyfikowanie problemów może pomóc zrozumieć, jak je obejść, nakłonić do zmodyfikowania swojego celu lub nawet zrezygnowania z niego, bez odczuwania wyrzutów sumienia. Wydaje się, że te słowa znajdują swoje odzwierciedlenie w badaniu Demis Hassabis i Eleanor

A. Maguire „The construction system of the brain”. Sugerują oni, że wyobrażenie sobie hipotetycznego wydarzenia podsuwa lepszy plan działania, który ma to wydarzenie wcielić w rzeczywistość. Problem być może nie leży więc w samym manifestowaniu, lecz w sposobie jego praktykowania.

Pokolenie Z – remix manifestacji

Choć według Google Trends największy powrót manifestacji przypada na początek pandemii koronawirusa, fenomen ten wciąż wydaje się być na fali w mediach społecznościowych. Okres, w którym manifestacja postanowiła zrobić spektakularny „comeback”, nie jest przypadkowy. Pierwsze miesiące globalnej pandemii dobitnie pokazały, jak samotny może stać się człowiek. Społeczna izolacja oraz masowe zwolnienia stworzyły podwaliny pod praktykowanie filozofii tak mocno napełniającej ludzi nadzieją. Dodajmy do tego postępującą laicyzację młodszych pokoleń oraz kryzys wizerunkowy instytucji religijnych i „bam!” – niespodziewanie TikTok stał się skarbnicą wiedzy dla poszukujących lepszego życia.

Generacja Z oczywiście dostosowała ten trend do swoich realiów. Z jednej strony platformy społecznościowe zalewane są postami, które przekazują z pozoru specyficzne „błogosławieństwa”, jak otrzymanie w niedalekiej przyszłości dokładanie 121 111 dolarów lub telefonu od pracodawcy. Warunkiem spełnienia takowej przepowiedni jest oczywiście wpisanie w komentarzu „TAK” lub polubienie zdjęcia, co momentami może przypominać łańcuszki wysyłane znajomym w 2009 roku. W ostatnich tygodniach na popularności zyskał „Syndrom Szczęśliwej Dziewczyny” („Lucky Girl Syndrome”). Zakłada on, że głębokie przekonanie o posiadaniu tzw. farta zawojuje powodzeniem we wszystkich aspektach życia.

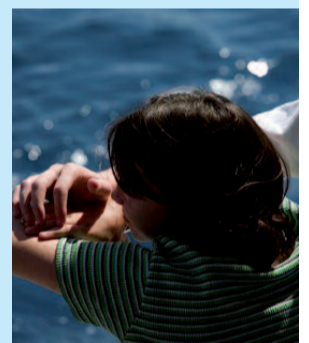
Nie zdziwcie się więc, jeżeli słowo „lucky” będzie zajmowało większość waszej tablicy na Pinterście. Choć być może osoby manifestujące w jednym mają rację – każdemu z nas przydałaby się choć odrobina szczęścia.

Karolina HAŁABIŚ
karhal2@st.amu.edu.pl

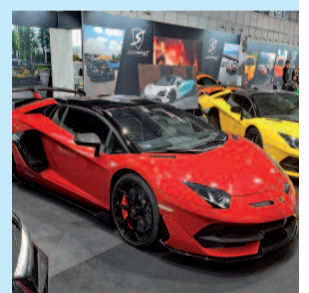


Zero z procentem
– o październikowych
wyborach s. 2

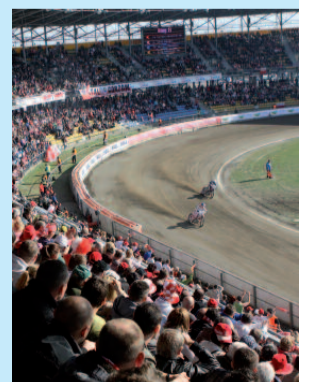
Polecamy



– Postępcze dialogi
z jądra arcywzruszeń
– Dyskusyjne Koła
Filmowe s. 4



– Poznańskie święto
motoryzacji s. 6



– Kto zatrzyma
Zmarzlika? s. 8

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Bardzo mi miło rozpocząć kwietniowy numer już z pozycji redaktor naczelnej Bardzo Uniwersyteckiego Czasopisma. Z przyjemnością przejmuję stanowisko od Marcina, choć propozycja dalszego poprowadzenia BUC-a pojawiła się na horyzoncie dość niespodziewanie. Tym bardziej dziękuję Marciniowi, Oli i Marii za zaufanie i szansę sprawdzenia się na nowym stanowisku. Marcin w ciągu minionych miesięcy nieustannie czuwał nad rozwojem BUC-a i jego redaktorów, co z pewnością będzie dla mnie przykładem. Mam nadzieję, że sprostam dotychczasowym oczekiwaniom naszych czytelników a przede wszystkim członków redakcji, bo to dzięki ich zdolnościom Bardzo Uniwersyteckie Czasopismo będzie mogło dalej się rozwijać – ja mogę nimi jedynie lekko pokierować. Ze swojej strony mogę zapewnić, że postaram się, by głos BUC-a i jego wszechstronnych redaktorów był jeszcze bardziej słyszalny. A w tym numerze przeczytacie m.in. o sile manifestacji okiem Karoliny Hałabis, nowym albumie Metalliki w recenzji Wiktora Kępińskiego, zbliżających się wyborach pod lupą Jakuba Marciniaka czy poznańskim święcie motoryzacji, z którego relację przygotował Bartosz Kabaciński. Razem z Karoliną Gołaszewską wrzuczymy się także w poznańskich kinach studyjnych, a Paweł Mańkowski zapowie historyczny finał siatkarskiej Ligi Mistrzów. Mamy naprawdę interesującą mieszankę. Liczę, że każdy w najnowszym BUC-u znajdzie coś dla siebie i życzę przyjemnej lektury!

Daria Bajorek



Zero z procentem



To będzie decydujący rok dla Zbigniewa Ziobry i jego partii

Październikowe wybory zadecydują o kierunku rozwoju partii politycznych oraz o przyszłości całej Polski. Niektóre spośród partii będą musiały polegać na koalicjantach. W tym również na pojedynczych politykach. Jeśli Solidarna Polska wystartuje w wyborach sama, będzie mogła liczyć na „Ziobro” postów.

Od długiego czasu mówi się o sporach pomiędzy PiS-em a Solidarną Polską, czyli koalicjantem partii Jarosława Kaczyńskiego. Wspominają o tym dziennikarze, tacy jak Jan Piński, publikujący materiały dotyczące partii rządzącej, Super Express czy Onet. O problemach pomiędzy koalicjantami mówią też sami zainteresowani. Ziobro w grudniowym wywiadzie dla „Sieci” powiedział, że przez działania obecnego rządu Polska traci suwerenność najszybciej w dziejach III RP, że obniża się poziom życia, społeczeństwo i gospodarka otrzymują potężne ciosy, a znaczenie Polski w UE spada. Gorzkich słów nie szczędzi również Ryszard Terlecki, którego słowa pojawiają się w dalszej części tekstu.

Partia Ziobry jest mała, ale nie kanapowa. Ma swoich ministrów, posłów (20), senatora i eurodeputowanych (2). I jest w koalicji z największą partią w Polsce. Jej prezes to najdłużej urzędujący minister sprawiedliwości w historii III RP. Politycy SP nie próżnują też w mediach społecznościowych. Liczba polubień facebookowych profili niektórych jej członków przekracza 100 tysięcy (Janusz Kowalski – 102 tys., Dariusz Matecki – 182 tys., Zbigniew Ziobro – 228 tys., Patryk Jaki – 506 tys.). Sam profil partii może liczyć na 260 tysięcy obserwujących. Na pierwszy rzut oka może wydawać się, że

PiS wraz z SP mają szersze możliwości, żeby utrzymać władzę w październiku.

Ziobro to trudny koalicjant

Powszechnie znane są animozje między szefem Solidarnej Polski a prezydentem i premierem. Sam Ziobro nie ma również najlepszych stosunków z Jarosławem Kaczyńskim. Przez reformy sądownictwa oraz działania prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości w jednym, PiS ma problem z otrzymaniem miliardów złotych z Krajowego Planu Odbudowy, które pomogłyby im wygrać październikowe wybory.

Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu i jeden z liderów PiS-u, odnosi się sceptycznie do SP. Jak mówił dla PAP – „Ta ekipa kandydowała z naszych list i potem zaczęła się uniezależniać. Jest coraz większym obciążeniem” – po czym dodał, że jego zdanie w tym temacie jest odosobnione, a sam Jarosław Kaczyński nie bierze pod uwagę osobnego startu. Terlecki w Dzienniku „Gazeta Prawna” wspominał również, że jeśli SP nie pójdzie do wyborów z PiS-em, zniknie ze sceny politycznej.

Co Solidarni Polacy wygadują?

Na zasięgach w mediach społecznościowych i koligacjach z partią rządzącą „plusy” Solidarnej Polski się kończą. Bzdury i głupoty wypowiedziane przez polityków tej formacji można mnożyć. Budują oni swoją narrację na strachu. Strachu przed Unią Europejską, imigrantami, liberałami, czy, jak sami mówią – „lewactwem”. Najzajadziej atakują społeczność LGBT+. Do kuriozalnej sytuacji doszło podczas jednej z audycji w TVP Info, podczas której polityk partii Ziobry, Janusz Kowalski, stwierdził, że „homopropaganda” wchodzi do szkół, nawet poprzez kolorowe kredki. Wy-

wołało to ogólny śmiech zaproszonych. Dla posła Kowalskiego kredki powinny być czarne albo białe. Kredkofob.

Kowalskiemu też grożono. Na antenie Radia ZET, podczas debaty dotyczącej szczepień, powiedział, że profesor Horban, przewodniczący rady medycznej przy premierze, groził mu nożem. Zapytany przez redaktora o sytuację, odparł, że uczyony powiedział o nożu, który otwiera się w jego kieszeni, jak słyszy to, co mówią posłowie, w tym Kowalski, na temat COVID-19. W studiu zapadło milczenie. Siedzący obok Franciszek Sterczewski ironicznie się zaśmiał. Wydaje się, że takie słowa mogły paść tylko od ludzi, którzy nie myślą, co mówią. Jednak zdobyte przez nich wykształcenie podpowiada, że to nie są głupie osoby. W grę wchodzi kalkulacja polityczna i wyrachowanie.

Sondaże i wybory

Według sondaży Solidarna Polska nie ma szans na samodzielny start w wyborach i wejście do Sejmu. Najwyższy wynik to 2,9% poparcia („Super Express”), natomiast pojawiają się wyniki takie jak 1,59% (wnp) czy nawet 0,2% (Radio ZET). Michał Woś, jeden z polityków i wiceministrów z SP, mówi, że notowania jego partii mogą sięgać nawet 6% („Do Rzeczy”). Jednak większość sondaży nie jest dla Zbigniewa Ziobry optymistyczna.

Do wyborów jeszcze pół roku. Wszystko może się zdarzyć. Jeśli SP zdecyduje się na osobny start, będzie musiała przygotować bardzo intensywną kampanię, żeby przebić 5-procentowy próg. Ale bądźmy realistami. Pomimo wzajemnej niechęci niektórych polityków, SP i PiS najprawdopodobniej wystartują razem. Przede wszystkim chodzi o przetrwanie i władzę.

Jakub MARCINIAK
jakmar13@st.amu.edu.pl

Redaktor miesiąca



Paweł Mańkowski

Siema! Jestem Paweł i studiuje Nowe media w komunikacji na pierwszym roku magisterki. W Bardzo Uniwersyteckim Czasopiśmie działam od ponad roku. Moje teksty możecie znaleźć w dziale Sport, gdzie piszę o swoich pasjach, jakimi są mieszane sztuki walki oraz piłka nożna.



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140

Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Daria Bajorek

**Zastępca redaktora
naczelnego**
Maria Lutkowska

Sekretarz redakcji
Aleksandra Kłowska

Numer makietałowa
Daria Bajorek

Wydawca numeru
Maria Lutkowska

Redakcja merytoryczna:
Olga Rydzewska,
Wiktor Kępiński

Korekta
Aleksandra Kłowska
Eryk Więsyk
Milena Mrozek

PR i Social Media
Aleksandra Kłowska

Hanna Kułak
Milena Mrozek
Karina Szymczak
Hanna Yankouskaya

Korekta
Maria Lutkowska
Alicja Melanowicz
Natalia Rogowska
Izabela Tomaszewska

Redakcja
Daria Bajorek
Aleksandra Białas
Julia Biskup
Natalia Budna
Bartosz Chałupka
Oleksandra Dubova
Karolina Gołaszewska
Milena Guzik
Karolina Hałabis
Evgeniya Ivanushchenko
Dominik Janicki

Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kępiński
Aleksandra Kłowska
Karolina Kozłowska
Michał Kubisiak
Hanna Kułak
Julia Kwaśniewska
Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Maria Lutkowska
Jonasz Ławniczka

Magdalena Maciejewska
Bartosz Maluski
Agata Mania
Paweł Mańkowski
Jakub Marciniak
Mateusz Markiewicz
Alicja Melanowicz
Olga Michalska
Milena Mrozek
Marcin Nowicki
Natalia Rogowska
Olga Rydzewska

Michał Rzeźnik
Anastasiya Shcherba
Emilia Szkobodzińska
Karina Szymczak
Izabela Tomaszewska
Eryk Więsyk
Kinga Wiśniewska
Michał Wybrański
Hanna Yankouskaya

Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Lesław Ciesiołka

Skład komputerowy
Tomasz Szukała

Druk
Drukarnia Prasowa
ul. Malwowa 15B, Skórzewo
Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania
nadesłanych tekstów.

Tytuł swojego najnowszego albumu „UGLY”, czyli akronim od „U gotta love yourself”, brytyjski raper slowthai wytatuował sobie na twarzy. Niektóre piosenki traktuje jak mantry. Tyron Frampton powraca z trzecim i najbardziej osobistym albumem w swojej karierze.

Fanom rapu, punku czy grime’u 28-letniego rapera z Northampton nie trzeba przedstawiać. Pierwszy raz zrobiło się o nim głośno w 2019 roku za sprawą debiutanckiego albumu „Nothing Great About Britain”, który stanowi polityczny komentarz do Brexitu oraz kadencji Theresy May jako premier Wielkiej Brytanii. Album trafił do pierwszej dziesiątki notowania UK Albums Chart, zdobył także nominację do nagrody Mercury Prize. Natomiast dwa lata później, bardziej osobisty i odchodzący od polityki „Tyron”, uplasował się już na szczycie notowań w Wielkiej Brytanii. Raper slowthai (zapis stylizowany) ma na swoim koncie współpracę z wieloma artystami, a w ich gronie znajdują się m.in. Gorillaz, Skepta, A\$AP Rocky, Mura Masa, Dominic Fike czy James Blake. Uznanie krytyków oraz przeciętnych słuchaczy zyskuje surowym brzmieniem, błyskotliwymi i szczerymi tekstami, dystansem do własnej osoby oraz niewątpliwie też zabawą formą – co słyhać szczególnie w „UGLY”. Trzeci album miał swoją premierę 3 marca, a slowthai po raz kolejny udowadnia, że w środowisku hip-hopu zdomował się na stałe – ale czy tylko tam?

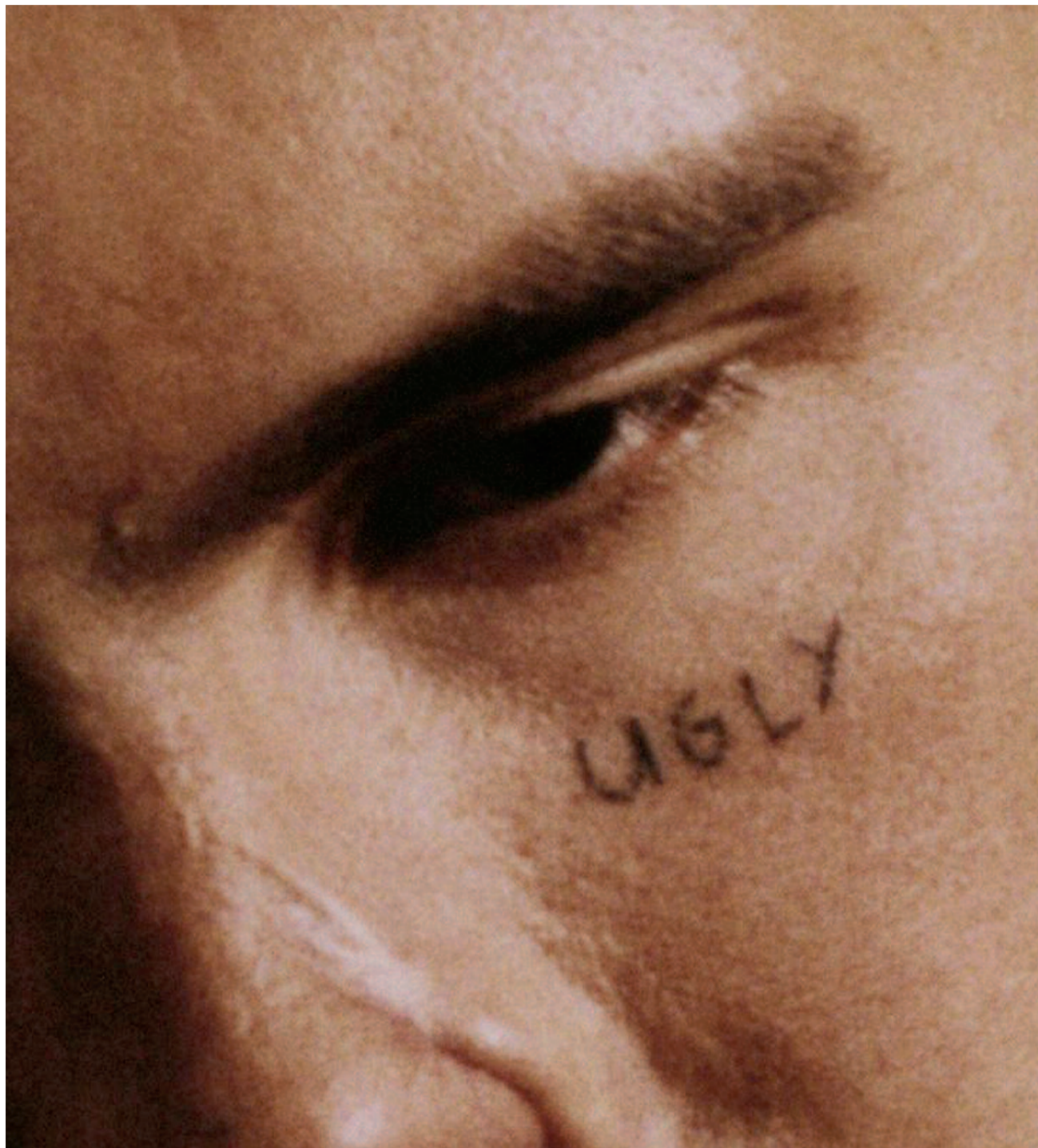
Od grime’u do popu

„UGLY” to dwanaście kawałków, które rozpoczyna wyjątkowo mocne „Yum”, czyli mieszanka wielu warstw. Slowthai krzyczy, w mocnych słowach rapuje o uzależnieniu od seksu, używek i wizycie u terapeuty, który to właśnie nakłania Tyrona do skupienia się na oddechu – a to tylko bardziej go rozsierdza. Nad całym albumem z raperem pracował dość duży zespół, m.in. producenci Dan Carey (Fontaines D.C.), Kwes Darko oraz Fontaines D.C. sami w sobie jako live zespół w kawałku „UGLY”. Pierwotnie to „Wotz funny” miało otwierać album, jednak raper uznał, że „Yum” bardziej oddaje ideę całości – i lepszej decyzji chyba nie mógł podjąć. Utwór hipnotyzuje dźwiękiem i wciąga głęboko zarówno w swoje brzmienie, jak i tekst, który może wręcz obrzydzać i wydawać się ohydny. Dokładnie taki, jak zapowiada tytuł albumu. Wyraźnie słyhać brzmienie grime’u i punka, które to gatunki slowthai eksploruje na przestrzeni całego albumu – a jego natura „zbuntowanego chłopca” idealnie do tego pasuje. „Yum” oraz „Selfish” są głośne, mroczne, również rockowe (co dla twórczości slowthai jest nowością), podobny wydźwięk mają „Fuck it puppet”, „Happy” czy „Wotz funny”. Czuć w nich pewne rozgoryczenie, agresję lub intensywność przekazu charakterystyczną dla Tyrona, a wybrzmiewające w nich krzyki i zniekształcone cyfrowo głosy jeszcze bardziej podbijają to uczucie. Co ciekawe, „UGLY” to też spokojniejsze kawałki, wręcz melancholijne – „Never again”, „Falling”, „Tourniquet”, „25% Club”. Osobiście wolę Tyrona w tej mocniejszej wersji, szczególnie kiedy po mocnym kawałku słyhamy melancholijne dźwięki i potrzebujemy chwili, by przywyknąć do tej zmiany. Niemniej jednak nawet te wolniejsze kawałki pasują do koncepcji albumu, wyrażając pewne rozczarowanie, smutek czy będąc zwyczajnie komentarzem do rzeczywistości otaczającej rapera. Z drugiej strony mamy jeszcze „Feel good” i „Sooner”, których brzmienie jest już pozytywne, co akurat w „Feel good” przekłada się także na warstwę tekstową. Obie piosenki, choć „Feel good” najbardziej, zbliżają się do popu/indie popu, korzystając z powtarzających się sekwencji dźwiękowych. Slowthai w swoich utworach już nie tylko rapuje, a coraz częściej również śpiewa (np. „Falling”, „Tourniquet”), ale nie ma wątpliwości, że rapowanie wychodzi mu zdecydowanie lepiej.

H-A-P-P-Y

Od 2021 roku i poprzedniego albumu w życiu Tyrona trochę się zmieniło. Raper zaczął terapię (już wiadomo skąd czerpał inspirację do „Yum”) i urodził mu się syn, będący owocem związku z rosyjską piosenkarką i modelką Katyą Kischuk. To głównie te wydarzenia spowodowały, że slowthai stworzył album bardzo osobisty, autotematyczny, o bardziej eksperymentalnym dla niego brzmieniu. „Tworzenie muzyki w pewnym momencie stało się obowiązkiem” – wspominał w rozmowie z magazynem „Complex Music”, a o pracy nad „UGLY” mówił: „To był dobry czas. Miałem z tego najwięcej zabawy i wolności. Bez żadnych barier po prostu eksperymentowałem”. Dlatego Tyron Frampton odkrywa wszystkie karty. Słuchamy o uzależnieniach od seksu i alkoholu, o beznadziejnych wizytach u terapeuty, roz-

Kochaj siebie



Oktadka „UGLY”

goryczeniu i, przede wszystkim, poszukiwaniu chociażby skrawków szczęścia w swoim życiu. „I would give everything for a smile” – śpiewa wielokrotnie w „HAPPY”, co brzmi jak bardzo prozaiczna deklaracja, ale o to właśnie chodzi. Bo zawsze będziemy dochodzić w życiu do wniosku, że tylko uczucie szczęścia się liczy. I zawsze brzmi to tak łatwo i prosto, ale czy kiedykolwiek rzeczywiście tak jest? W „Wotz funny” komentuje sytuację, które wywołują śmiech bogaczy, a dla „przeciętnych” ludzi są szarą codziennością. Najbardziej ujęło mnie znaczenie „Feel good”, które jest właśnie dla slowthai mantrą. Mamy takie piosenki, które poprawiają nam humor w gorsze dni lub na odwrót – takie, które włączamy po to, żeby przy nich popłakać. Tyron, zaczynając pracę nad utworem, czuł się beznadziejnie, więc powstało „Feel good”, które popycha do działania i przekonuje, że naprawdę jest dobrze. Podczas zeszłorocznej edycji Fest Festiwalu, w której miałam przyjemność uczestniczyć, raper wykonał ten kawałek jako zapowiedź nowego albumu – ale niedopowiedzeniem byłoby stwierdzić, że wyszedł po prostu „dobrze”. Komentując utwór slowthai sam zaznacza, że w jego intencji było stworzenie czegoś podobnego w brzmieniu do popu. I oczywiście nie można zapomnieć o teledysku do wspomnianego utworu, w którym raper zaskakuje fanów w swoich domach podczas pierwszego odsłuchu singla – oglądając wideo uśmiech sam ciśnie się na usta.

Rapowe rozczarowanie?

„UGLY” zebrał bardzo dużo pozytywnych opinii, m.in. od „Guardiana”, „Slant Magazine”, jego ocena na stronie Metacritic to 80 punktów na 100 na podstawie opinii krytyków, a 8.9

na podstawie opinii użytkowników. Jednak nie wszyscy albumem się zachwycili. Do antyfanów należy na pewno magazyn „Pitchfork”, którego ocena na Metacritic to 50 – rozczarowanie wywołuje głównie fakt, że slowthai oddalił się jednak trochę od klasycznego rapu i eksperymentuje z gatunkami, co dla „Pitchforka” nie jest zaletą. I też po części rozumiem te zarzuty, bo zapewne dla fanów stricte rapu ten album z elementami punku, rocka, a nawet popu będzie dość rozczarowujący. Natomiast nie uważam, żeby to samo w sobie było czymś negatywnym, bo oczekiwanie od artystów, że będą niezmienni, jest wpychaniem ich w szufladki nikomu niepotrzebne. Kiedy Arctic Monkeys wydali „Tranquility Base Hotel & Casino” odbiór albumu był negatywny po części dlatego, że stanowił kompletną nowość w porównaniu do wcześniejszej twórczości zespołu. To dość absurdalne stawiać artystom wymogi stałości i spójności, kiedy za każdym razem oczekujemy od nich czegoś nowatorskiego i odkrywczego. „UGLY” od strony technicznej trzyma poziom, a mieszając gatunki tylko go podwyższa.

Naprawdę z przyjemnością słyha się albumu, który powstał w atmosferze przyzwolenia na wszystkie eksperymenty, które zechce wypróbować artysta. Bez sztywnych ram gatunkowych i przekonania nawet samego artysty, że każde jego następne działanie musi być spójne z poprzednimi, bo inaczej wszyscy stwierdzą, że „kiedyś był lepszy”. Slowthai, wydając ten album, pokazał w pewnym sensie środkowy palec tym konwencjom i zrobił to, na co miał ochotę, a jego punkowa osobowość nigdy wcześniej nie była bardziej widoczna niż teraz.

Trudno nie zostać miłośnikiem kina alternatywnego wobec znakomitych repertuarów spod charakterystycznych szyldów kilku poznańskich kin studyjnych. Współczesne alt cinema charakteryzuje się poruszaniem tematów i problemów, które aż swędzą oglądającego na języku, a wyniesione z sali kinowej refleksje aż proszą się o ich ekspresję. Stąd też w paru naszych kinach spotkać się można z serią wydarzeń oznaczanych skrótem: DKF.

Kina studyjne w Poznaniu odwiedzam od dzieciństwa: ze szkołą, mamą, koleżanką. Na przełomie gimnazjum oraz liceum odkryłam ich magiczne „Tanie czwartki” (to kilka złotych tańsze bilety na repertuar bieżący, a obowiązują w Kinie Muza i w Rialto, gorąco zachęcam do korzystania z tej tradycji kinowej), no i przepadłam. Popadłam wręcz w nałogowe łkanie na wybitnych produkcjach pod osłoną kinowego współodczuwania w swoim mroku. Korzystałam, i korzystam dalej, z tej słodkiej możliwości nabywania wzruszeń taniej niż duże flat white w ulubionej kawiarni, regularnie zawieszając wzrok na skrócie dość nieoczywistym na pierwszy rzut oka.

Odkodowując Dyskusyjne Koła Filmowe

Logika i filmowe obycie z czasem kazaly mi wynioskować, że pod czarnymi śladami trzech literek kryje się nie tyle przestrzeń filmowa, o ile przestrzeń dialogowa: bo czym innym w swej istocie może być Dyskusyjne Koło Filmowe? Nazwę wytłumaczyć wydaje się łatwo, jednak bardziej dociekliwi zatrzymają się i rozważą, jak w gruncie rzeczy może wyglądać przeprowadzenie takiej formy seansu?

Wybierając się po raz pierwszy na DKF w Kinie Pałacowym nie byłam pewna, co mnie czeka. Charakterystycznym dla cyklu w kinie zamkowym jest sporządzanie go pod kątem pewnej tematyki na cały miesiąc, zatem: cztery filmy – po jednym na każdy czwartek – swój fabularny rdzeń mają osadzone w tej samej tematyce. W kwietniu mamy przyjemność do-

Posłoneczne dialogi z jądra arcywzruszeń



Jeden z kadrów, na którym to główna bohaterka wpada w zadumę, towarzysząc również i oglądającym film!

wiedzieć serii „Rodziny się nie wybiera”, gdzie w trakcie dialogu najwyraźniej wskazane mają być konteksty filmowych rodzin. Wydawało mi się to całkiem ciekawe pod kątem tego, jak prowadzący może kierować nurtem rozważań. Zanim jednak opowiem o formie wspólnego filmowego dialogu, muszę opowiedzieć co nieco o filmie.

O „Aftersun” słów kilka

Wielkie wrażenie na miłośnikach kina zrobił w ostatnim czasie film „Aftersun”, „posłoneczny”, jak to uroczo ujmuje jedna z moich serdecznych koleżanek z filmoznawstwa. Debiutancki film reżyserki Charlotte Wells jest pięknym portretem relacji cierpiącego wewnętrznie rodzica ze swoją „stającą się” córeczką, Sophie (odsylam w tym miejscu do esejów Weroniki Murek, „Dziewczynki” – bardzo w punkt o dziewczyności wobec dojrzwania).

Egzotyczne wakacje tej dwójki są dla oglądającego wejrzeniem w głębinę depresji, niełatwego rodzicielstwa i niesamowitej błyskotliwości dziecka, balansującego na granicy bez troski i parentyfikacji. Pozwolę sobie nie zdradzać więcej, a jedynie gorąco polecić wybranie się na seans. Film wciąga i pozostaje w duszy, niosąc ze sobą piękno ciągłej refleksji.

Somatyka tłumy – „ufne współodczuwanie”

Powołując się na epitet z „Błon Umysłu” Jolanty Brach-Czajny, w trakcie seansu, jak i po nim odczuwałam z innymi miłośnikami kina „ufne współodczuwanie”. Wpadając w wir wspólnego, filmowego dialogu, czułam wręcz somatycznie bycie w doświadczeniu tego niełatwego, wywołującego smutek i dyskomfort filmu – i to nie w pojedynkę, ale razem z całą salą. Osoby, które pozostały po filmie

wgniecione w fotel i skore do rozmowy, wydawały się wyrażać na swych twarzach oraz w posturach równie wielki, co i mój własny, natłok myśli oraz refleksji. Prowadząca z aurą zaangażowania i ciekawości zapytała o wrażenia. To pierwsze pytanie, stanowiące wprowadzenie do dialogu, zawsze jest najtrudniejsze. Przy nim przelewają się fale największych różnorodności, wszelkich możliwych wątków. Wiele osób jest niepewnych i nie wie, jak wdroyć się w nurt dyskusji. Dopiero, gdy stali bywalcy oraz osoby oswojone z formą zaczynają odnosić się bez skrpułów i uniesienia dłoni do wypowiedzi przedmówców, zaczyna się dynamiczna, poruszająca rozmowa.

Z fascynacją pełną zachwytu pozwoliłam się porwać nurtowi rozmowy, gdzie refleksje iście filmoznawcze łączyły się z wejrzeniem w portrety psyche bohaterów. Z moimi przyjaciółkami nie spostrzegłyśmy nawet, kiedy wspólnie unosiliśmy dłonie, wyrażaliśmy swoje przekonania otwarcie, ciesząc się na każde odniesienie. Siedzące za nami około trzydziestoletnie panie, również grupa bliskich sobie kobiet, wielokrotnie dodawały coś do naszych wypowiedzi, zgadzały się i toczyły płynny dialog. Niesamowitym było, jak grupa nieznajomych ludzi potrafiła przytakiwać sobie i prowadzić taki intymny, poruszający i intelektualnie stymulujący dialog. Rozmowa była rzadko kiedy nakierowywana przez prowadzącą, która stała się nagle w tej sytuacji społecznej bardziej jedną z rozmówczyń, aniżeli organizatorką. Swojskość, bezpieczeństwo i nagromadzenie odkryć emocjonalnych i intelektualnych – to zdecydowanie doniosłe cechy dyskusyjnych kół filmowych, które sprawiły, że zakochałam się w tym cyklu całym moim sercem.

Jestem zdecydowanie urzeczona DKF-owym poszerzaniem horyzontów własnych interpretacji i percepcji. Cykle te oferują nie tylko przestrzeń na ekspresję, ale i umiejętność wykształcania większej ciekawości oraz otwartości nie tylko na refleksje dotyczące filmów, ale również i innych sposobów myślenia, odczuwania. Przestrzeń, w której widz zanurza się w trakcie dyskusji po kinowym katharsis, ma aurę tak wyjątkową i kojącą, że nie pozostaje mi nic innego, jak gorąco Was zaprosić do zaglądania jak najczęściej w czułe progi naszych poznańskich kin studyjnych!

Karolina GOŁASZEWSKA
kargol7@st.amu.edu.pl

Szybciej, mocniej, lepiej

Czy do zabójstwa można użyć absolutnie wszystkiego? Odpowiedź brzmi: tak, o ile jest się Johnem Wickiem. Nie będzie zaskoczeniem dla osób, które znają poprzednie trzy części, że główny bohater potrafi rozprawić się z przeciwnikami czyhającymi na jego życie nie tylko otówkiem, ale i małym palcem. Liczba postanych do piachu przez bohatera w czwartej części serii sięga pewnie setek, o ile nie tysięcy. Czy oprócz liczby zabitych „John Wick 4” ma coś do zaoferowania widzowi?

Cykl filmów o Johnie Wicku rozpoczął się w 2014 roku. W pierwszej części poznajemy bohatera, który po śmierci żony jest zdruzgotany. I w tym momencie zostaje mu odebrane wszystko, co wiązało się z jego ukochaną – pies oraz samochód. Wtedy też dowiadujemy się, że bohater przed małżeństwem parał się nie byle jakim zawodem, otóż – był płatnym mordercą. Udało mu się jednak odejść z zawodu i przez kilka lat wieść normalne życie. To, co dzieje się jednak po śmierci żony, każe bohaterowi powrócić z emerytury (jak jest to w filmie określone).

O ile w pierwszej części widz dostaje historię skupioną na jednym wątku i ograniczonej liczbie postaci, o tyle z każdym kolejnym filmem uniwersum jest coraz bardziej rozbudowywane. W czwartej części akcja dzieje się już na trzech kontynentach, a na życie bohatera czyhają płatni zabójcy z całego świata.

„Zabić ich wszystkich”

John Wick grany przez Keanu Reevesa jest jeszcze bardziej małowówny i powściągliwy niż w poprzednich częściach. Jest to znakomicie wykreowana postać, w której aktor jest bohaterem i na odwrót. Keanu Reeves dopracował tę postać do perfekcji.

Głównym antagonistą w filmie, którego chce zabić John Wick, jest Markiz de Gramont, członek Rady Najwyższej, w którego ręce powierzono rozwiązanie sprawy Johna Wicka. W postać tę wciela się Bill Skarsgård znany widzom przede wszystkim z roli klauna w filmie „To”. W „Johnie Wicku 4” nie kryje się jednak za maską, a granie złego idzie mu równie dobrze. Jest to postać, która może kojarzyć się trochę z rozwydrzonym nastolatkiem, który dostał zbyt dużo władzy. I do tego filmu pasuje to świetnie. Okrutny bohater, z rozbuchanym ego, jest idealnym rywalem dla Johna Wicka.

Markiz de Gramont jako główny przeciwnik nie angażuje się jednak w bezpośrednią walkę. To on wydaje rozkazy i przesuwa pionki na planszy, licząc na rozwiązanie sprawy Johna Wicka bez zabrudzenia własnych rękawów. Bo w końcu im wyższa stawka za jego głowę, tym więcej chętnych do pozbawienia jej go. Głównemu bohaterowi jednak nie straszne zmasowane ataki, bo przez cały film przyświeca mu tylko jedno motto – „zabić ich wszystkich”.

Sprzymierzeńcy i przeciwnicy

W czwartej części na ekranie widz może zobaczyć kilka postaci dobrze mu znanych z poprzednich części, m.in. Winstona (Ian McShane), który po próbie zabicia Johna Wicka na końcu poprzedniego filmu powraca jako jego sprzymierzeniec i doradca, a także Charona (Lance Reddick), concierge’a w hotelu Continental. Niestety znakomity Lance Reddick zmarł niedługo przed premierą filmu.

Oprócz tego na ekranie pojawia się kilka zupełnie nowych postaci – starych przyjaciół Wicka, z którymi przyjdzie mu się mierzyć lub bratać. Najciekawszym z nowych bohaterów jest przedstawiający się jako Nikt tropiciel, w którego wciela się Shamier Anderson. Postać intrygująca, która chce zabić głównego bohatera, ale dopiero wówczas, gdy jego głowa osiągnie odpowiednią cenę. Do tego czasu pomaga on Wickowi. Nie mogło i w tej części zabraknąć motywu

Balansując na krawędzi

Prawdopodobnie nie ma w muzyce rockowo-metalowej większego wydarzenia niż premiera jakiegokolwiek albumu Metalliki. Nie jest łatwą sztuką utrzymać się na piedestale przez tak długi okres, a jednak gdy premiera „72 Seasons” kończy 7-letni czas oczekiwania na kolejny krążek legendy metalu, po raz kolejny mamy do czynienia z globalnym szaleństwem i to nie tylko wśród fanów zespołu. Czy jednak poziom artystyczny wciąż dorównuje temu entuzjizmowi?

Każda z wielkich formacji musi stawiać czoła olbrzymim oczekiwaniom niemal na każdym kroku. Nie jest powodem do wstydu, jeśli w ciągu wielu lat kariery czasem je zawiedzie. Samej Metallice, która za kilka miesięcy obchodzić będzie czterdziestą rocznicę debiutanckiego „Kill ‘Em All”, zdarzyło się to już po drodze, chociażby przy płycie „St. Anger” czy niesławnym „Lulu”. Ale jak to z oczekiwaniami bywa – każdy ma inne. Odbiór „72 Seasons” będzie diametralnie różny w zależności od tego, czego oczekiwaliście od czwórki z Los Angeles.

Nieoczekiwany kierunek

Przez 77 minut, których Metallica dostarcza na nowej płycie, dostajemy prawdziwą mieszankę znanych muzycznych zabiegów, szlifowanych przez zespół od tak wielu lat. Niektórych zaskoczy liczba podobieństw do dawnych osiągnięć formacji. Otwierający album tytułowy utwór spokojnie można by uznać za kontynuację zamykającego poprzednią płytę „Spit Out The Bone” – z niemal takim samym tempem i gitarowym riffem na początku oraz bardzo podobną kompozycją. Jest to jednocześnie (obok „Room of Mirrors”) najbardziej thrashowy utwór, z piekielnie szybkimi partiami gitarowymi i olbrzymią dynamiką, przywołującą czasy „Master of Puppets”.

Jednak „72 Seasons” znacznie bliżej do klimatów rodem z „Load” niż pierwszych trzech albumów Metalliki. Większość utworów jest utrzymywana w średniej prędkości, jak w „Sleepwalk My Life Away”. Niekiedy tempo jest bardziej marszowe, w szczególności w „If Darkness Had a Son” z wyraźnie wybijającymi się na pierwszy plan partiami perkusyjnymi lub w utworze „You Must Burn!”, który przywołuje na myśl „Sad But True”, lecz nie jest tak chwytliwy jak swój starszy brat.

Siła i monotonia

Nie oznacza to jednak, że na dwunastym albumie Metalliki brakuje energii i mocy. Nawet te utwory, które utrzymane



Okladka „72 Seasons”

są w nieco wolniejszym tempie, mają swój pazur i skutecznie rozbudzą nawet największego śpiocha. Dobrymi przykładami są „Lux Aeterna”, które świetnie sprawdzi się na stadionowych koncertach, czy nieco krzykliwie oraz energetyczne „Chasing Light”. Co więcej, na „72 Seasons” nie znalazła się ani jedna ballada. Najbliżej do niej ma zamykająca płytę, 11-minutowa „Inamorata”, ale kręte labirynty riffów zwieńczone trzema solidnymi gitarowymi solówkami sprawiają, że kompozycji (również lirycznie) bliżej jest do atmosfery „My Friend of Misery” niż do „Nothing Else Matters”.

„Inamorata” swoją długością unaocznia jedną z największych bolączek albumu, czyli zbyt długie rozciąganie. Wkradająca się momentami monotonia bywa rozczarowująca, a cierpi na tym parę utworów. Dla kontrastu, jedna z krótszych kompozycji, czyli „Too Far Gone?” jest zarówno chwytliwa, jak i przemyślana, będąc dobrym przykładem, że więcej nie zawsze znaczy lepiej. Album „Hardwired... To Self-Destruct” sprzed 7 lat, trwający niemal dokładnie tyle samo co najnowsza płyta, lepiej wykorzystywał swoją objętość. Co z kolei „72 Seasons” robi lepiej względem swojego poprzednika, to fakt, że nowy album jest dużo bardziej równy i trudno tu wskazać jakiegokolwiek utwor, który odstawałby jakościowo od reszty.

„Bez ciemności nie ma światła”

Warsztatowo muzycy są silni jak zawsze. Agresywne i pomysłowe solówki Kirka Hammetta w przeważającej części kompozycji absolutnie nie zawodzą. Gdy dorzucimy do tego wyraziste partie gitar wspierającej, ściany riffów od razu dają o sobie znać i nie mamy wątpliwości, z kim przychodzi nam obcować. Agresywna perkusja Larsa Ulricha, wybijająca się okazjonalnie na pierwszy plan, podkreśla tempo w odpowiednich momentach, partie basu Roba Trujillo są solidne, a sam basista nawet miał okazję zaśpiewać fragment „You Must Burn!”. Za wokala odpowiada oczywiście niezawodny James Hetfield, który śpiewa z olbrzymią energią, niekiedy bardziej rytmicznie, czasem krzykliwie, ale nigdy nie schodzi poniżej poziomu, do którego przez lata nas przyzwyczaili.

Hetfield jednak na „72 Seasons” przede wszystkim pokazał swój kunszt w tworzeniu warstwy lirycznej. Głównym motywem albumu jest zmaganie się z trudami młodości, a tytułowe 72 pory roku składają się na pierwsze 18 lat życia, będące kamieniem węgielnym tożsamości każdego człowieka. Metallica zagłębia się w najmroczniejsze aspekty dojrzewania, poruszając tematykę uzależnienia („If Darkness Had a Son”), destrukcyjny młodzieńczy gniew („72 Seasons”), czy schowane głęboko pod maską codzienności tendencje samobójcze w najmocniejszym lirycznie „Screaming Suicide”. Choć podobne tematy nie są obce zespołowi i przewijały się wielokrotnie na przestrzeni ostatnich lat jego twórczości, to rzadko były ukazane w sposób tak namacalny i kompleksowy. W tekstach Hetfielda czuć udrękę i traumę, ale generalny wydźwięk „72 Seasons” jako całości zwiędzony jest nadzieją. Wydaje się, że od czasu politycznie zabarwionego cynizmu na „...And Justice for All” Metallica nie napisała bardziej spójnych i interesujących tekstów. Przewijający się motyw ciemności i światła, który widać już na okładce płyty, zdaje się wskazywać nie tyle na kontrasty pomiędzy dwiema skrajnościami, ale bardziej na dwie strony tej samej monety, nierozdzielnie ze sobą związane. Jediną drogą jest odszukanie balansu na tej cienkiej linii, nierzadko będącą krawędzią nad przepaścią.

Trochę inaczej jest z samym zespołem. Muzycy w wywiadach podkreślali, że proces tworczy był bardzo swobodny, a praca w takim środowisku jest dla nich bezpieczną przestrzenią. „72 Seasons” nie wymyśla koła na nowo, skupia się na sprawdzonych środkach i nie eksperymentuje. Dla niektórych będzie to zbyt mało, aby nazwać ten album sukcesem. Trzeba być jednak wyjątkowo spragnionym nowatorstwa, by nie docenić bogactwa riffów i intymnych tekstów, które choć nurzają się niekiedy w monotonię, to zapewniają pełne muzyczne doznania, do jakich przyzwyczaili nas Metallica. Z tego powodu „72 Seasons” absolutnie nie przynosi wstydu w muzycznym CV zespołu, a wręcz przysparza mu kolejnego powodu do dumy.

Wiktor KĘPIŃSKI
wikkep@st.amu.edu.pl

psa, który przewija się przez wszystkie sceny, bo Nikt jest posiadaczem jednego, który w trzeciej części filmu wzbudził salwy śmiechu na widowni.

Na uznanie zasługuje również Donnie Yen, wcielający się w postać niewidomego Caine oraz Hiroyuki Sanada grający Shimazu. Pierwszy z wymienionych staje się głównym przeciwnikiem Johna Wicka, a jego motywacje do walki są na tyle mocno zarysowane, że widz wie i rozumie postępowanie bohatera. Drugi natomiast pomimo świadomości konsekwencji, które mu grożą, pomaga ekskomunikowanemu głównemu bohaterowi.

Zaskakującą rolę odgrywa w filmie Scott Adkins, w roli Killa. Otyły, ze wstawionymi złotymi zębami jest prawdopodobnie najbardziej zaskakującą postacią. Jednak jego wątek mógłby być bardziej rozbudowany. Możliwe, że w pierwotnej wersji tak było, bo film miał mieć początkowo ponad trzy godziny, jednak ostateczna wersja została skrócona do dwóch godzin i czterdziestu sześciu minut.

Taneczna walka

Niekiedy filmy akcji są po prostu brzydkie – bohaterowie zabijają się nawzajem i efektem jest jedynie rozlew krwi. „John Wick 4” jest jednak filmem pięknym (o ile można tak powiedzieć o filmie akcji). Każda scena walki jest niczym zaplanowany układ choreograficzny w balecie, w którym bohaterowie jednak, zamiast naciągać pointy, naciskają spusty pistoletów.

Nie jest istotne czy John Wick walczy w Osace, na berlińskiej dyskotece czy zabija przeciwników pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu – wszystkie te sceny ogląda się z

zapartym tchem. Mimo że sekwencje potrafią trwać po kilkanaście minut, nie są nużące i cały czas zaskakują widza czymś nowym. Po trzech filmach z serii można było mieć wątpliwości, czy uda się stworzyć coś unikatowego, co zaskakuje widza. Twórcom się to jednak udało, a kilka sekwencji akcji zapewne przejdzie do historii kina.

Sceny w filmie są przemyślane i po prostu piękne. Twórcy mają zamiłowanie do pięknych kadrów i wyrazistych kolorów. Scena rozwiązania akcji, niemalże żywcem wyjęta z westernów dzieje się przy wschodzie słońca obok bazyliki Sacré-Coeur w Paryżu. Wygląda, jakby ktoś ją namalował. W filmie nie zabrakło również ujęć z motywem luster i rozbijanym szkłem, które pojawiają się we wszystkich częściach. Na wyróżnienie zasługuje również innowacyjne podejście do tworzenia kadrów – m.in. przedstawienie całej sekwencji walki w paryskiej kamienicy w rzucie z góry. Momentami widz może odnieść wrażenie, że gra w grę komputerową, a nie ogląda film.

W filmie „John Wick 4” wszystko jest przemyślane. Od minimalistycznych dialogów, dokładnie zaplanowanych scen akcji po szczegóły, które tylko podnoszą jego wartość. Gra światłem, kolorami, innowacyjne kadry i muzyka – nic w tym filmie nie jest przypadkowe. Każdy fan kina akcji będzie się dobrze bawił podczas seansu. Jeżeli jednak nie jest się fanem przerysowanej do granic możliwości kuloodporności i ograniczenia fabuły na rzecz rozbudowanych scen akcji, to lepiej nie wybierać się do kina.

Izabela TOMASZEWSKA
izatam4@st.amu.edu.pl



po prawie czterech latach oczekiwania do kin trafiła czwarta część przygód o Johnie Wicku

Poznańskie święto motoryzacji

Weekend między marcem a kwietniem oprócz Prima Aprilis przyniósł powrót jednego z najważniejszych wydarzeń na mapie świata motoryzacji – Poznań Motor Show. Impreza ponownie przyciągnęła rzesze fanów samochodów i nie tylko, choć wciąż widoczny jest wpływ pandemii.

Poznań Motor Show to jedna z największych wystaw motoryzacyjnych na świecie, podczas której widzowie mogli oglądać nie tylko samochody, ale też motocykle czy kampery. Wydarzenie, które odbyło się w dniach 30 marca – 2 kwietnia w halach Międzynarodowych Targów Poznańskich przyciągnęło prawie 100 tysięcy widzów oraz było świetną okazją do zapoznania się z nadchodzącą przyszłością, którą niedługo ujrzymy także na naszych drogach.

Jeżeli był jakiś temat główny tegorocznej edycji poznańskich targów motoryzacyjnych, to niewątpliwie była nim elektryfikacja. Niemal na każdym stoisku widzowie mogli zobaczyć z bliska, a niekiedy nawet wejść do środka modeli na prąd. Dotyczyło to nie tylko zwykłych aut osobowych – oglądać można było chociażby elektryczne samochody dostawcze, a także elektryczne wersje marek luksusowych, takich jak Mercedes. Niektórzy wystawcy pokazali natomiast wyłącznie modele elektryczne, wśród których wymienić należy producentów z Chin: Maxusa i Skywellę.



Mimo trudności Poznań Motor Show bardzo dobrze się trzyma.

Spoglądając wewnątrz samochodów z pewnością można było zobaczyć inny trend – coraz szerszą elektronikę. W niemal każdym z aut znajdował się duży wyświetlacz, z pomocą którego można było sterować rozrywką. Niekiedy ekran zastępował klasyczne pokrętła klimatyzacji, a niektóre modele nawet zamiast standardowych zegarów prędkościomierza i obrotomierza miały wyświetlacze.

Bogactwo tematyczne

Na Poznań Motor Show nie sposób się nudzić. Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Są zarówno samochody (nie tylko nowe salonowe, ale także rajdowe oraz zabytkowe), motocykle,

kampery, a dodatkowo wystawiają się dostawcy produktów do detailingu oraz producenci technologii samochodowej. Poznańskie targi gościły także Ogólnopolskie Mistrzostwa Mechaników, których gościem miał być Robert Kubica, jednak jedyny dotąd Polak w Formule 1 ostatecznie nie mógł się zjawić, ze względu na zachorowanie na koronawirusa.

Gośćmi imprezy byli także znani miłośnikom motoryzacji ludzie związani z tym światem. Fani mogli zadać pytania popularnemu youtuberowi motoryzacyjnemu Kicksterowi, albo porozmawiać z obecnymi na wydarzeniu dziennikarzami telewizji TVN Turbo, która dodatkowo była patronem medialnym całych targów.

Pocovidowe blizny

Mimo iż COVID-19 nie jest już tak groźny jak przed trzema laty, to nieobecność Roberta Kubicy nie była jedynym przejawem występowania tej choroby. Jej wpływ wciąż jest widoczny – tegoroczny poznański salon był znacznie mniejszy od poprzednich edycji, a dodatkowo wiele stoisk nie było prowadzonych przez firmy motoryzacyjne, a wręcz przez pośredników sprzedaży (przykładem było stoisko Forda, prowadzone przez łódzki salon marki oraz duże stoisko grupy Volkswagen, które formalnie wystawił polski dealer tych samochodów, czyli grupa Cichy-Zasada). Widać to także było w salonie aut luksusowych, gdzie oficjalne stoiska wystawiły tylko cztery marki: BMW, Mercedes, Aston Martin oraz McLaren. Pozostałe luksusowe samochody na wystawie były sprowadzone albo przez pośredników, albo kluby pasjonatów.

Wielu producentów po prostu przeniosło się do internetu, dodatkowo wiele innych znanych imprez ucierpiało przez koronawirusa (Salon w Genewie przeniósł się do Kataru, a organizowane co dwa lata targi w Paryżu się nie odbyły), jednak mimo tych trudności Poznań Motor Show bardzo dobrze się trzyma. Oby w przyszłym roku pojawiło się jeszcze więcej ciekawych samochodów, wartych rozmowy gości oraz wielu wystawców, którzy będą przekonani do idei klasycznych targów motoryzacyjnych.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl



To się dzieje! ZAKSA Kędzierzyn-Koźle zagra w finale siatkarskiej Ligi Mistrzów z Jastrzębskim Węglem. Będzie to epokowe wydarzenie dla polskich kibiców, którzy pierwszy raz w historii będą mogli oglądać finał, w którym wystąpią dwie polskie ekipy.

Tegoroczny finał siatkarskiej Ligi Mistrzów odbędzie się 20 maja. Gospodarzem imprezy najprawdopodobniej będzie Turyn. ZAKSA trzeci raz z rzędu znalazła się w najlepszej dwójce. Za to Jastrzębski Węgiel pierwszy raz będzie miał szansę zagrać w ostatnim etapie najbardziej prestiżowych rozgrywek.

Słodko-gorzki triumf

By dostać się do finału zespół z Jastrzębia-Zdroju stanął przed nie byle jakim wyzwaniem. Musiał pokonać zawsze solidną drużynę Halkbanku Ankara. Teoretycznie Polacy byli w uprzywilejowanej pozycji dzięki swojemu zwycięstwu w pierwszym meczu. Jednak dopóki piłka w grze, wszystko mogło się zdarzyć.

W rewanżu gospodarzem byli Polacy. Mecz rozpoczął się wyrównanie, żadna z drużyn nie mogła uzyskać znaczącej przewagi. Przełom nastąpił, gdy Jastrzębski Węgiel wyszedł na prowadzenie 14 do 10. Od tego momentu klub z Górnego Śląska konsekwentnie powiększał swoją przewagę, pewnie wygrywając pierwszego seta 25-17. W tym momencie wydawało się, że nie może stanąć na drodze polskiej ekipie do finału.

Stara stawka mówi, że gra się do końca i chyba w ten sposób najlepiej można zdefiniować drugi set. Zespół z Turcji podniósł się po nieudanym początku. Halkbank wygrał seta, co niestety pozwoliło nabrać mu wiatru w żagle.

Bo właśnie w trzecim secie turecki zespół pokazał dominację od samego początku, doprowadzając do nawet sześciopunktowego prowadzenia. Polskiej drużynie udało się delikatnie odgryźć, nadrabiając sporą stratę, lecz nie zmieniło to faktu, że w trzeciej partii zwycięski był Halkbank.

Jastrzębski Węgiel ku uciesze polskich fanów wziął się w garść, pewnie wygrywając czwartą część rywalizacji. Co prawda drużyna z Turcji wygrała piątego seta, doprowadzając ostateczny wynik meczu do stanu 3 do 2 na swoją korzyść, ale było to za mało, by dostać się do finału. Drużynie z Polski wystarczyła zaliczka z pierwszego spotkania wygranego 3:1. Mecz zos-

Tak się tworzy historię



Zwycięski zespół ZAKSY Kędzierzyn-Koźle po półfinale z Perugią

tal przez Jastrzębski Węgiel przegrany, a awans do finału był słodko-gorzki, lecz nie zmienia to faktu, że siatkarze tego klubu swoimi czynami napisali piękną historię.

Formalności dopełnione

Fani ZAKSY do finału Ligi Mistrzów są już przyzwyczajeni. W końcu zespół z Kędzierzyna-Koźle triumfował w tych rozgrywkach w dwóch ostatnich sezonach. Do tego dochodziła zaliczka z pierwszego meczu, który polski klub wygrał 3 do 1, a pewności siebie dodawała seria ostatnich pięciu zwycięstw z rzędu. Nie można było jednak lekceważyć Perugii, a o tym by zawsze być skupiony, siatkarzom ZAKSY mógł przypominać ciężki dwumecz Jastrzębskiego Węgla.

Od samego początku mecz był bardzo wyrównany. Widać było, że mierzą się ze sobą dwie wysokiej klasy ekipy. W zespole gospodarzy, czyli Sir Sicoma Monini Perugii, można było wyróżnić świetną dyspozycję Wilfredo Leona. Ostatecznie pierw-

szy set minimalnie wygrała ZAKSA, jednak było czuć w powietrzu, że w tym meczu może wydarzyć się wszystko.

I właśnie delikatny niepokój mógł wkrącić się w serca fanów mistrzów Polski, gdy po zmianie stron Perugia prowadziła 10-6. Kędzierzyniecom udało się uspokoić sytuację, odwracając losy tej partii i doprowadzając do wyniku 2 do 0 w setach. Perugia starała się jak mogła, zwyciężając w kolejnym secie, ale na doskonale zorganizowaną ZAKSĘ było to za mało. Mistrzowie Polski dopełnili formalności, wygrywając czwarty set 27 do 25.

Tak więc mamy to! Finał z dwoma polskimi zespołami. Jako faworyt oczywiście uznawana jest ZAKSA Kędzierzyn-Koźle. Doświadczenie na tym szczeblu rozgrywek na pewno może się okazać bardzo pomocne. Ale być może to Jastrzębski Węgiel zaskoczy wszystkich i udowodni, że jest skazywany na porażkę bezpodstawnie? Tego dowiemy się już 20 maja.

Paweł MAŃKOWSKI
pawman2@st.amu.edu.pl

Iga Świątek nie była w stanie zagrać w turnieju WTA 1000 w Miami z powodu kontuzji żeber. Polka miała na Florydzie bronić tytułu, a brak startu oznaczał stratę tysiąca punktów w rankingu.

Po turnieju w Dubaju zawodniczki przeniosły się do Stanów Zjednoczonych, aby zagrać w dwóch tysięcznikach, w których rok temu triumfowała Świątek. W Indian Wells, nazywanym „piątym wielkim szlemem”, 21-letnia Polka doszła do półfinału, gdzie musiała uznać wyższość Jeleny Rybakiny. Było to drugie zwycięstwo Kazaszkii nad raszynianką w tym sezonie. Wcześniej spotkały się w czwartej rundzie Australian Open.

W finale Indian Wells, podobnie jak w australijskim wielkim szlemie, spotkały się wspomniana Rybakina oraz Białorusinka Aryna Sabalenka. Tym razem lepsza okazała się ta pierwsza (7:6, 6:4). Dla Kazaszkii jest to pierwszy tytuł WTA 1000 i czwarty w karierze.

Iga Świątek za pomocą swoich mediów społecznościowych poinformowała, że nie zagra w turnieju w Miami. Problemy zdrowotne Polki zaczęły się w Dubaju od infekcji dróg oddechowych. Następnie bardzo silny kaszel wywołał kontuzję żeber. Pewne było wówczas, że w Miami zobaczymy nową mistrzynię. Głównymi faworytkami były finalistki z Indian Wells.

Ostatecznie o tytuł rywalizowały Jelena Rybakina oraz Petra Kvitová. Sabalenka niespodziewanie przegrała w ćwierćfinale z Rumunką Soraną Cirsteą, która była rewelacją turnieju. Pierwszy set finału był bardzo wyrównany. O jego losach zdecydował tie-break, zakończony wynikiem 16:14 dla Czeszki. Druga partia stanowiła już dominację bardziej doświadczonej Kvitovej (6:2). 33-latką mogła cieszyć się z dziewiątego wygranego turnieju tej rangi i powrotu do czołowej dziesiątki rankingu. Tym samym zakończyła się seria jedenastu zwycięstw z rzędu Jeleny Rybakiny.

Powrót Świątek

Czwartego kwietnia minął rok od kiedy Iga Świątek znalazła się na pierwszym miejscu w rankingu WTA. Mimo braku obrończego tytułu w Indian Wells i niewystąpienia w Miami Pol-

Królowa mączki powróci

ka utrzymała swoją pozycję na czele stawki. Na korzyść 21-latkę obecny miesiąc oznacza zmianę nawierzchni – z twardej na ziemną, czyli jej ulubioną, na której święciła pierwsze triumfy. Warto przypomnieć, że dwa z trzech wygranych wielkich szlemów raszynianka zdobyła właśnie na mączce.

Przez kontuzję Świątek zaczęła zmagania na kortach ziemnych później od rywalki. Po publikacjach w mediach społecznościowych można wnioskować, że Polka czuje się już znacznie lepiej i wróciła do treningów na korcie. Trener najlepszej zawodniczki świata Tomasz Wiktorowski w wywiadzie udzielonym „Rzeczpospolitej” powiedział: „po ostatnich badaniach zapadła decyzja, że Iga w Stuttgarcie najprawdopodobniej za-

gra”. Świątek wygrała w tym turnieju w ubiegłym roku. Oznacza to, że ponownie trzeba będzie bronić sporej liczby punktów. W finale pokonała wówczas swoją aktualną największą rywalkę Arynę Sabalenkę (6:2, 6:2), zajmującą drugie miejsce w rankingu WTA.

W tym sezonie zmagania w Niemczech rozpoczęły się 15 kwietnia. Kibicom nie pozostaje nic innego, jak życzyć Idze zdrowia, aby bez przeszkód mogła rywalizować z najlepszymi zawodniczkami o najwyższe cele.

Kamil KWIATKOWSKI
kamkwi3@st.amu.edu.pl
*Tekst oddano do druku 18 kwietnia 2023 roku.



Nawierzchnia ziemna jest ulubioną nawierzchnią Igi Świątek

Kto zatrzyma Zmarzlika?



Fani żużla wyczekują startu nowego sezonu

Piętnastu najlepszych żużlowców globu rozpoczynają walkę o indywidualne Mistrzostwo Świata. 29 kwietnia na stadionie Milenium w chorwackim Gorican zainaugurowany zostanie cykl Grand Prix 2023. Faworytem do końcowego triumfu jest obrońca mistrzowskiego tytułu, Bartosz Zmarzlik.

Tegoroczny cykl składa się z dziesięciu rund, które zostaną rozegrane w ośmiu krajach. Trzykrotnie zawodnicy będą rywalizować w Polsce. 13 maja odbędzie się turniej na Stadionie Narodowym w Warszawie, 24 czerwca żużlowcy zawitają do Gorzowa, a ostatnia, rozstrzygająca, runda będzie miała miejsce 30 września na toruńskiej Motoarenie. W tym roku po raz pierwszy w historii Ryga zorganizuje rundę żużlowego Grand Prix zastępując Wrocław, gdzie żużlowcy będą rywalizować w lipcu podczas Drużynowego Pucharu Świata.

Czwarte złoto na horyzoncie

Powoli zaczyna brakować słów na to, co wyczynia Bartosz Zmarzlik. 27-latek jest absolutnym dominatorem ostatnich lat. Z czterech ostatnich edycji cyklu Grand Prix, trzykrotnie wychodził zwycięsko, ulegając jedynie Artiomowi Łagucie w 2021 roku. Miniony sezon, w którym z oczywistych powodów nie mogli rywalizować Rosjanie, potwierdził gargantuiczną przewagę kiczianina nad resztą stawki. Zdobył aż o trzydzieści trzy punkty więcej od srebrnego medalisty, Leona Madsena.

Nie da się ukryć, że Zmarzlik jest głównym faworytem do zwycięstwa również w tym roku. Stawka cyklu Grand Prix zmieniła się tylko o jednego zawodnika – zamiast Pawła Przedpeńskiego pojechał Kim Nilsson. Rywale musieli pogodzić się z faktem, iż zdobycie tytułu indywidualnego Mistrza Świata jest wręcz niemożliwe. Bartek nie odpuszcza współzawodnikom nawet w zawodach towarzyskich i sparingach. Widać u niego ciągle głód bycia jeszcze lepszym, a nowym bodźcem do wygrywania jest niedawny transfer do ubiegłorocznego zwycięzcy PGE Ekstraligi, Platinum Motoru Lublin.

Charty w blokach startowych

Grupa pościgowa za Zmarzlikiem będzie liczna i bardzo wyrównana. Najgroźniejszym rywalem wydaje się być Leon Mad-

Nowy sezon zapowiada wiele emocji. Choć stawka zawodników, jak i lokalizacje turniejów są niemal identyczne jak w poprzednich latach, to kibice z niecierpliwością czekają na nowe rozdanie. Bartosz Zmarzlik zamierza zdobyć czwarty tytuł indywidualnego mistrza świata, przez co zrówna się z takimi tuzami speedway'a jak Greg Hancock, Barry Briggs, czy Hans Nielsen. Rywale będą naciskać, a wszystko zweryfikuje tor.

sen. Aktualny Mistrz Europy wciąż nie zaznał smaku zwycięstwa w indywidualnych mistrzostwach świata, dwukrotnie kończył zmagania na drugiej pozycji, zawsze za plecami Bartka. Na uwagę na pewno zasługuje rodak Madsena, Mikkell Michelsen. 28-latek w zeszłym roku debiutował w cyklu Grand Prix jako pełnoprawny uczestnik i po dwóch rundach był nawet wiceliderem, ale później zeszło z niego powietrze i zakończył sezon w dolnej części stawki. W walkę o medale powinni również włączyć się Daniel Bewley i Robert Lambert. Brytyjczycy otarli się o brązowy medal w zeszłym roku, więc ich apetyty będą coraz większe. Obaj słyną też z efektywnej jazdy na dystansie oraz radzenia sobie na trudniejszych technicznie torach.

Ubiegłoroczny brązowy medalista, Maciej Janowski, również znajduje się w gronie tych, którzy powinni bić się o trofea. „Magic” słynie ze świetnych startów, a w ostatnich latach poprawił też „trasę”, co daje fanom z Wrocławia nadzieję na kolejne sukcesy ich ulubieńca. W cyklu Grand Prix wystartuje też trzeci reprezentant Polski, Patryk Dudek. „Duzers” w ostatnich latach stał się żużlowcem nieprzewidywalnym, w jednym biegu wygrywa ze sporą przewagą, by w następnym przyjechać na ostatniej pozycji. Jego ambicje są wysokie, a wie, że musi się poprawić, gdyż może nie otrzymać dzikiej karty od organizatorów na sezon 2024.

Mistrzowie, medaliści, a może niespodzianki?

Ostatni sezon nie poszedł po myśli dwóch byłych mistrzów świata, Taia Woffindena i Jasona Doyle'a. Obaj nie pokazywali pełni swoich możliwości, ale zapewniają, że w tym sezonie powrócą na szczyt. Zarówno Brytyjczyk, jak i Australijczyk to

zawodnicy, którzy będąc w formie są niemal bezbłędni. Jak zawsze groźny będzie też Fredrik Lindgren, który w Grand Prix jest innym zawodnikiem, niż w ligowych zmaganiach. O pierwszy medal w karierze powalczy Słowak Martin Vaculik, który w zeszłym sezonie wygrał rundy w Pradze i Toruniu. O sprawienie sensacji postara się jego klubowy kolega ze Stali Gorzów, Anders Thomsen. Duńczyk mógł narzekać na ogromnego pecha w zeszłym roku, ponieważ złamał nogę podczas turnieju Grand Prix Challenge w Glasgow, przez co nie dokończył sezonu. Teraz wraca z wielkimi nadziejami na dobre wyniki.

Stawkę tegorocznego cyklu uzupełniają Australijczycy Max Fricke i Jack Holder, a także Kim Nilsson. Cała trójka wywalczyła prawo startu w Grand Prix podczas turnieju w stolicy Szkocji. Szwed zaliczył pierwszy pełny sezon w indywidualnych Mistrzostwach Świata, wcześniej miał tylko kilka epizodycznych występów podczas turniejów w Målilli i Sztokholmie. Kangury są zaznajomione z walką z najlepszymi na świecie, ale ich dotychczasowe wyniki nie rzucają na kolana, przez co trudno przewidywać, by mogli wnieść się w walkę o medale.

Nowy sezon zapowiada wiele emocji. Choć stawka zawodników, jak i lokalizacje turniejów są niemal identyczne jak w poprzednich latach, to kibice z niecierpliwością czekają na nowe rozdanie. Bartosz Zmarzlik zamierza zdobyć czwarty tytuł indywidualnego mistrza świata, przez co zrówna się z takimi tuzami speedway'a jak Greg Hancock, Barry Briggs, czy Hans Nielsen. Rywale będą naciskać, a wszystko zweryfikuje tor.